



ARTUR GRUSZECKI POD CZERWONYM WIRCHEM

22

Na chwilę wstąpiły do pani Łotuskiej, u której zastały pana Szarockiego, spoglądającego ponuro przed siebie, a na pytanie pani Mniewskiej, dlaczego milczy, odpowiedział:

— Jestem jak ów Arab, który szuka wody, ginąc z pragnienia na Saharze, a znajduje brylanty i złoto.

— Dziś tyle mgły, deszczu i śniegu, że chyba pan pragnienia nie czuje, — zaśmiała się pani Mniewska.

— Zadziwiająca wspólność myśli z panią Łotuską, — uśmiechnął się gorzko, — obydwie nie chcecie zrozumieć, że dusza żyje tak samo realnie, jak ta marna powłoka materialna.

— Ale panu podoba się na przykład ta marna powłoka pani Łotuskiej, — zawołała rozbawiona pani Mniewska.

— Tak jest, bo czuję, że ona przesłania duszę brylantową.

Pani Łotuska, widząc drwiące uśmiechy przybyłych pań, powiedziała dość surowo:

— Niech pan zostawi w spokoju moja duszę, czy nie ma pan innego tematu?

— Owszem, mam temat niedający się nigdy wyczerpać, o zmienności kobiet, a specjalnie pani.

— To jest już obmowa, jeśli nie oszczerstwo męskie, — uśmiechnęła się pani Wanda.

— Obmowa!? Oszczerstwo!? O, pani, każdy poeta skarży się na zmienność kobiet.

— Ach, poeci są chorobliwie drażliwi, — rzekła pani Wanda, — i nie można z nich brać miary.

— Znam i niepoetów, którzy chorują na serce, — powiedział drwiąco.

— O, przepraszam! — zawołała pani Mniewska, — każdy człowiek w pewnych chwilach życia jest poetą.

— O ile kocha szczerze, — oświadczył surowo pan Szarocki, — a bez miłości jest zwykłym chlebojadem.

— No, dość mam tej miłości, — zaśmiała się pani Wanda, — chodźmy szukać Ryty, — wstała z krzesła.

— Ja zostanę jeszcze na chwilę, muszę przekonać pana Szarockiego, że nie my, lecz mężczyźni są zmienni.

Pani Wanda wyszła z pewnym niesmakiem. Najpierw dotknęły ją słowa drwiące Szarockiego o pana Jedlińskiego, a następnie poczuła pretensję do otoczenia, dlaczego bowiem pani Łotuskiej wolno flirtować tak publicznie z panem Szarockim, który jej nie opuszcza, a ją takie gromy spotykają za niewinną rozmowę z panem Jedlińskim, i w dodatku pani Łotuska wcale nie kryje swej sympatii dla Szarockiego i nawet zachwyca się jego poezją. Mówią, że ma męża bardzo zazdrosnego, to też dziwna rzecz, że się tak afiszuje i nie obawia się skandalu.

Wchodząc do salonu posłyszała ożywiony głos Ryty w przyległym gabinecie:

— Nie można jednego, a nawet kilku wypadków uogólniać i podnosić do znaczenia reguły.

— W tem właśnie tkwi błąd w rozumowaniu pani, — odpowiedział pan Borowiecki, — gdyż wyjątki...

Pani Wanda przez jedną, krótką chwilę miała wielką ochotę przysłuchać się głośno prowadzonej rozmowie, — ale wstyd ją ogarnął na myśl,

że będzie podsłuchiwała pod drzwiami i cała zarumieniona weszła do gabinetu mówiąc:

— Posłyszałam twój głos, Ryto, a właśnie szukałam ciebie.

— Nie zgubię się w zakładzie, — uśmiechnęła się z przymusem, — czy byłeś u mamy?

— Tak jest, zostawiłam tam panie Poreckie. Czy wolno wiedzieć o czym rozmawialiście państwo oboje z takim ożywieniem? — spojrzała na Rytę i Borowieckiego, który z miną obojętną błdził oczyma po pokoju.

Sądziła Ryta, że Borowiecki odpowie, jak to zazwyczaj bardzo chętnie czynił, zdziwiła się trochę jego milczeniem i rzekła chłodno:

Rozmawialiśmy o dobranych i niedobrych małżeństwach.

— O, przepraszam panią, nie było mowy o małżeństwach, lecz o zasadzie ogólnej, bez względu na to, czy tak zwana miłość kończy się małżeństwem albo też nie, — powiedział dość porywczo Borowiecki, — a to jest wielka różnica.

— A mianowicie? — spytała Ryta.

— Wychodzi się za mąż ze względów rodzinnych, majątkowych, dla stanowiska lub koligacji i... bierze się na męża stosownie do wymagań indywiduum. Mówiliśmy poprzednio o tak zwanej miłości kobiet według wyboru własnego.

— Tak, to prawda, — potwierdziła Ryta.

— I do jakich wniosków pan doszedł? — spytała pani Wanda.

— Mam to głębokie przekonanie, — rzekł twardo, — że kobieta im bardziej jest wykwiniona i uduchowiona, tem pewniej szuka swego ideału pomiędzy bardzo przeciwnymi mężczyznami. Rozstrzyga w tych sprawach wzrost, kolor oczu, dźwięk głosu, jednym słowem fizyczne zalety osobnika, bez względu na charakter i umysł, — spojrzał z ukrytym gniewem na panią Wandę.

Ona dobrze wiedziała, że on mówi to do niej, mając na myśli Jedlińskiego i bawił ją jego gniew. Miała nawet ochotę powiedzieć mu: poco się pan irytujesz i ciskasz gromy na cały ród niewieści, kiedy mnie nic a nic nie obchodzi pan Jedliński, ale i to wiedziała, że tak przemówić nie może.

— Dziwi to mnie, — powiedziała równym, spokojnym głosem, — że pan tak gwałtownie i z pewną stronniczością mówi o zjawiskach tak znanych, tak pospolitych, no i zrozumiałych.

— Jakto, Wandziu, i ty jesteś tego zdania! — zdziwiła się Ryta.

— O, wiedziałam dobrze, że w pani znajdę sojusznika, — rzekł z przekąsem Borowiecki.

— Nie pan, lecz prawda życia, — uśmiechnęła się pani Wanda, — to przecież jasne i zrozumiałe, że miłość jest uzupełnieniem swego ja, więc kto jest duchem, szuka ciała, a kto ciałem, szuka ducha, gdyż nawet katechizm nas uczy, że człowiek składa się i z ciała i z duszy, więc nie może być tylko ciałem, albo tylko duszą.

Borowieckiego drażnił jej dobry humor i swoboda okazana, widocznym było dla niego, że ona lekceważy jego ostrzeżenia, nic sobie nie robi z tego, że pożegnał ją oschle, bez podania ręki i na dobitkę głośno przyznaje, że miłość jej dla Jedlińskiego jest rzeczą zupełnie zwykłą i naturalną, nie wątpił bowiem, że ona wie, o kim mówił, zresztą był przekonany, że ona widzi wszystkie ujemne strony Jedlińskiego, podobnie

jak on, a że go mimo to kocha, to już zagadka serca kobiecego.

— Nie rozumiem, Wandziu, — powiedziała z niechęcią Ryta, — jak możesz podtrzymywać taki dziwny paradoks o kobietach. Rozejrzyj się wśród swoich znajomych, przyjaciółek, czy każda z nich nie szuka w mężczyźnie charakteru, honoru, wiedzy, a dopiero na ostatnim planie jest jego uroda.

— To są romantyczne urojenia panien, — drwił Borowiecki, — doświadczone mężatki patrzą trzeźwiej na sprawy sercowe.

— Tak jest, — zaśmiała się pani Wanda, w której obudził się duch przekory, — mężatki naśladują w tym względzie mężczyzn; przecież Francuzi, ci mistrze w miłości, za najlepszą kochankę uważają kobietę piękną a głupią. Jeśli mężczyźni mają takie ideały, dlaczegoż my nie mamy mieć podobnych? Czy nie tak, panie Borowiecki?

Spojrzał na nią złemi oczyma i rzekł z goryczą:

— No, zapewne, jeśli ktoś ma taką filozofię miłości, nie można się niczemu dziwić.

— Jak pan to rozumie?

— Bardzo prosto, z takimi zasadami może kobieta się kochać w parobku, albo w osłej głowie.

— I cóż byłoby w tem dziwnego? — zaśmiała się, — albowż Tytania nie kocha się w Spodku z osłą głową?

— Powtarza pani koncept pana Jedlińskiego, — powiedział z gniewem.

— Na razie Szekspira, a chyba pan przyzna, że to jest jeden z najsubtelniejszych psychologów.

— Wszystko mi jedno, — rzekł zniechęcony, — teraz wiem wszystko.

— Dlaczegoż pan nie jesteś tym porządnym filozofem, który powiedział: to wiem, że nic nie wiem. Postąpiłby pan ostrożnie, rozważnie, rozumnie i uniknąłby pan niepotrzebnego rozdrażnienia, które przesłania panu prawdę.

— Dziękuję za wskazówki i rady, — uśmiechnęła się ironicznie, — ale nie wiem, czy z nich skorzystam, bo z radami bywa zwykle tak, jak z ogniem, póki się nie sparzy, to się nie wierzy.

— Tak postępują uparci mężczyźni, — zaśmiała się, — zresztą robi pan to, co uważa za stosowne.

— I zrobię napewno, zastosuję się do filozofii pani.

— I co? — uśmiechnęła się.

— Będę się starał zakochać w pierwszej, ładniejszej gąsce.

— Bardzo mądrze i praktycznie, — zaśmiała się swobodnie.

— Nie! Nie wierzę temu, — odezwała się Ryta z lekkim oburzeniem, — jak możecie państwo oboje tak płasko, tak brzydko mówić o miłości?

— No, a zdaniem pani, jak należy mówić o miłości?

— Mojem zdaniem? — zarumieniła się, — miłość nie jest ślepa, widzi jasno wszystkie braki, niedostatki, ułomność, ale nie karci, nie gniewa się, nie drwi, bo jest cierpliwa, łaskawa, wyrozumiała i stara się złe usunąć, naprawić, wybaczyć.

— Pani słyszy? — zwrócił się do pani Wandy.

— A pan? — spytała poważnie.